

Macierz Polska.

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 39.

CHICAGO, 26-go WRZEŚNIA (SEPTEMBER 26-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



MOJ KOCHANY BRACISZKU!

Gdyby mi tak dawano
Kwiatów pełen ogródek,
Złote gwiazdeczki na niebie,
Dzbanek słodkich jagódek.

Mój kochany braciszku,
O w twe serce ja wierzę,
Wiem, że niemniej niż ja cię,
I ty kochasz mnie szczerze.

St. Gębarski.

Gdyby mi tak dawano
Skarby świata całego,
Kochałabym nad wszystko
Ja braciszka mojego.

HENRYK SIENKIEWICZ.

Z podróży do Afryki.

Upływa jedna godzina i druga. W salonie na dole gasną światła, lampy elektryczne na pokładzie również; zostaje tylko kilka kolorowych latarni — ruch ludzi ustaje — słychać jeno w równych odstępach czasu dzwon strażniczy, któremu z przodu statku odpowiadają Hindusi. Zresztą cisza.

Cisza względna, bo maszyny nie śpią nigdy i swem miarowem: „gda, gda, gda” znaczą drogę i czas pracy.

Naokół szumi też morze, tym dziwnym nocnym szumem, w którym odróżnisz jakby głosy i nawoływania ludzkie, jakby wielkie westchnienia, a czasem łkania. Jest w tem coś ogromnie smutnego, bo ponieważ z pojęciem nocy łączy się mimowoli w umyśle ludzkim pojęcie snu i spoczynku, więc ten nocny ruch, to szarpanie się fal, wydaje się jakby męką i zarazem skargą żywiołu, któremu nigdy spocząć nie wolno.

Deszcz obfity spędził mnie z pokładu i nie pozwolił zobaczyć Stromboli.

Ranek zastał nas już w cieśninie Meksykańskiej.

Dzień blady i chłodny. Brzeg sycylijski przedstawia się szaro i smutnie, bo gdy brak słońca, wszystko jest smutne, a tej zimy niema zawiele słońca, nawet w Egipcie. Jeden promień — a owa Sycylia zagrałaby odrazu, Bóg wie, ilu barwami! Mgła zniża horyzont i przypłaszcza nawet góry. Ale słońce nie wschodzi.

Statek mknie bliżej sycylijskiego brzegu, tak szybko, jakby się przekradał. Istotnie, niegdyś przekradano się ze strachem przez te wody, które nie jeden pochłonęły okręt, a z nim i setki marynarzy. Dziś jednak, cieśnina ta nie należy do niebezpiecznych przesmyków morskich. Nowoczesne okręty przepływają ją bez bojaźni.

Podróżni oprócz mnie i towarzysza mego, wszyscy są Anglikami. Jest też i młody Hindus, który siedzi, a raczej leży cały Boży dzień na fotelu z nogami w górze, wykonując i to z niechęcią, tylko te ruchy, których wymaga zapalenie fajki. Schodzi także na dół, ilekroć dają jeść; zresztą nie widziałem, żeby choć ręką ruszył. Jest to zapewne jakiś znakomity Hindus, może syn jakiego radży, wracający z Oxfordu, lub Cambridge. Jego złotawo zielona cera i czarne, jak aksamit oczy, ślicznieby się wydawały, gdyby nosił turban, ale w szarym pidżaku angielskim i w szarej o dwóch daszkach czapce na głowie, młody radża wyglądał, jak usmolony kapcan. Zresztą, wydaje się nadzwyczaj sfatygowany podróżą, nauką, lub życiem i zaledwie odpowiada

Anglikom, którzy od czasu do czasu do niego zagadują.

Wogóle brak na pokładzie charakterystycznych figur. nawet kapitan ma minę nie wielką morską, ale dobrotliwą twarz angielskiego farmera. Widocznie jednak zna się na swoim rzemiośle — i patrząc na niego, nie wiem dlaczego nabieram wiary, że ten człowiek ani sam nie utonie nigdy, ani ludzi nie potopi.

Szary czas, szaro usposabia — i na twarzach znać trochę nudy.

Największą atrakcją dla podróżnych stanowi jakieś kilkomiesięczne „baby” i trzeba mu przyznać, że robi, co może by zwrócić na siebie powszechną uwagę. wrzeszczy też od rana do wieczora w niebogłosy, a po nocach spać nam nie daje.

Pogoda zmienna. Od czasu do czasu deszcz przetrzepuje przechadzających się po pokładzie tak niespodzianie, jakby im chciał robić na złość, a sobie na uciechę. Ogół podróżnych wolałby zapewne albo zupełną pogodę, albo jakąś uczciwą burzę. Byłaby przynajmniej rozrywka.

Jakoż trzeciego dnia, zdaje się, iż istotnie stanie się zadość temu ostatniemu życzeniu. Od rana poczynamy się mocno huścić. Wpółdnie chwiejba powiększa się, a z nią razem przychodzi nieodłączny zawrót głowy i zniechęcenie.

Morze przybiera barwę ciemną i ciemniej coraz bardziej, na tem zaś posępnem tle widać, jak okiem sięgnąć, białe runa fal, piętrzących się coraz wyżej. Statek poczyną pracować: wspina się, zanurza dziobem w odmet, to znów siada w wydrążeniach fal, przechyla się z boku na bok i skrzypi. Czuby bałwanów przelewają się przez pokład. Jesteśmy na wysokości zachodniego Cypla Kandyi. Wieczór nie przynosi folgi, noc również, a na drugi dzień jest jeszcze gorzej. Nie przeszkadza to nabożeństwu, bo niedziela, ale do obiadu, zamiast osób czterdziestu, siada ledwie piętnaście. Szklanki, kieliszki i talerze są w ramach. Mijamy teraz wschodni cypel Kandyi.

Statek wiję się i przewraca, zupełnie jak chory człowiek.

Tak upłynął dzień trzeci i czwarty.

Piątego — zupełna zmiana. Budzi nas promień słońca. Wychodzimy na pokład: niebo pogodne, ale blade i spokojne. Jakaś nieopisana słodycz napęnia powietrze — wiatru nie ma — cisza zupełna — i czuć tchnienie wiosny. Mgła zbiega się na krańcach widnokregu, jakby w jakieś fantastyczne, nikłe budynki, które załamują się łagodnie i zapadają w morze.

Wśród tej ciszy i słodyczy statek idzie naprzód spokojnie, a za nim ciągną całe stada mew, których nie było dni poprzednich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POWIEDZ MAMUSIU!



Mamusi!... A powiedz, kto nauczył ciebie,
 Żebyś była dobra, jak aniołek w niebie?
 Mamusi!... A powiedz, z czego serce twoje,
 Że kocha tak bardzo dzieciąteczka swoje?
 Mamusi! A powiedz, dlaczegoś tak miła,
 Jakbyś cała z cukru, albo miodu była?
 Mamusi, a powiedz, czemu nad świat wielki,
 Nad wszystkie pieszczoty ciastka i karmelki
 Ty jesteś najmilsza, ty najlepsza w świecie?
 Ach! powiedz mamusi, powiedz, czemu przecie
 Jesteś jak aniołek, jak jasne słońeczko,
 Jesteś całym szczęściem, powiedz mi mameczko!...
 Bez ciebie by życie, było wciąż żałobą,
 I oczka by wiecznie płakały za tobą...
 Ach! mamusi, nie wiesz, jak ja kocham ciebie,
 Jak słońko złociste, jak gwiazdkę na niebie,
 Jak anioła stróża, jak cały świat wielki,
 Tak ja kocham ciebie krwi każdej kropelki!
 A powiedz mamusi, kto nauczył ciebie,
 Żebyś była dobrą, jak aniołek w niebie?
 Kto ci dał to serce najlepsze na świecie?...
 Mamusi! Ach powiedz, powiedzże mi przecie!...

Jadwiga z Obzowa.

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.
 Kto się dotyka smoły, zmaże się od niej.
 Kruk krukowi oka nie wykole.
 Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

JÓZEF GRAJNERT.

ŻYCIE ZA WIARĘ.

Opowieść przeszłości.

—No, mniejsza o ubiory, mówił dalej książę, ale czekam na to, coś mi moja Agnes miała powiedzieć?

— Doprawdy, nie rozumiem, jak ty sobie mój Władziu, nic nie robisz z moich rad i życzeń. A przecież przyrzekłeś mi, już nieraz, że raz się na dobre wezmiesz do swoich braci i skończysz z nimi, jak trzeba.

— Ciężkich i przykrych rzeczy domagasz się moja miła odemnie. Wiem-ci ja sam dobrze o tem, że w całym państwie Lechickiem jeden tylko rzadzić powinien, jeżeli ono ma być silnem i straszem dla nieprzyjaciół... Ale sumienie moje mówi inaczej; ja przyrzekłem umierającemu rodzicowi, że będę opiekunem, ojcem młodszych moich braci, nie naruszę ich praw, że wszyscy bronić się będziemy wspólnie wrogom naszym.

— A jakżeż się obronicie skutecznie, jeśli każdy na swoją rękę będzie działał?

— Mamy jedno hasło, które nasz wielki pradziad Bolesław Chrobry zostawił przywódcom zamków i obronnych grodów: że równa jest hańba dać sobie porwać polskie kurczę jak zamek. — To hasło przygarnie nas braci razem do siebie — rzekł książę.

— Łudzisz się, mój kochany małżonku — zaprzeczała Agnieszka — tej zgody nie będzie. A ja wiem przez moich usługnych, co siedzą w Poznaniu, iż ta węgierka Elżbieta podburza ciągle swego męża Mieszka, aby nam odebrał, jeżeli nie Śląsk, to przynajmniej Pomorze najbliższe jego dzielnicy.

— To chyba nie może być — odparł Władysław.

— Tak jest, nie inaczej — potwierdziła księżna — dziś rano właśnie przybył z Poznania tu na zamek mój Otto Lustig i te rzeczy mi zwierzył. A czyż to zresztą nie pamiętasz sam, jak podczas gód weselnych Bolka Kedzierzawego i żony jego Anastazyi, Mieszko wykrzykiwał, gdy mu chmiel dobrze zaszmerzał w czuprynie, iż ty, Władysławie, zanadto wiele ziem dostałeś po ojcu, i że oni, to jest Mieszko, Bolek i Henryk Sandomierski pokrzywdzeni zostali? Co? nie pamiętasz tych jego wykrzyków? A czy mu co na to Bolko albo Henryk rzekli? Czy zaprzeczyli?

— Tak ci było — przyświadczył książę — aleć nie wszystko prawda, co chłop w gospodzie po pijanemu śpiewa, jak mówi przysłowie...

— Tak, rachuj na to, a doczekasz się, że i ty i ja i dzieci nasze na psy wyjdziemy, i torby żebracze

zawiesimy sobie na plecy — mówiła księżna, udając głos żałosny.

— Tak źle nie będzie — odparł książę, nalewając sobie nowy kubek miodu — jam z nich najsilniejszy... nie ruszą mnie z miejsca mego dziedzictwa.

— Więc jak grzyb będziesz w miejscu siedział, czekał zmiłowania i dobrej woli braciszków i ich żonek, aż jak grzyb zmurszały rozsypie się twoje państwo w proch!

— Ja mam miecz długi, nie dam się!

— Czy wiesz ty, niedobry, że i wuj mój, potężny pan Germanii, Konrad dał mi znać przez swego kapelana Fryderyka, iż koniecznie powinnam cię skłonić do tego, abyś dzielnicę swoją powiększył, a da ci pomoc w pieniądzach i orężu.

przeżegnał się pobożnie. Agnieszka, przeczekawszy napad wichru, mówiła dalej żałośnie:

— Oj! mogłam ja, mogła sobie większego króla, niż ty znaleźć za męża... Nie dbasz ty widzę, ani o mnie, ani o siebie nawet, ani o przyszłość swych dzieci. Za to tamci o siebie lepiej dbają.

Rozdrażniło to gadanie Władysława, uderzył mocno próżnym kubkiem o stół i powstał, mówiąc:

— Nie rozpaczaj, miła Agnes! Nasz wielki przodek, Chrobry, musiał przecież dla pomyślności państwa usunąć z działów książęcych braci swoich i władał sławnie sam jeden... To mi właśnie przyszło na myśl i widzę, że twoje rady są jędrne i w porę... Niech jeno wody, rzeki, jeziora i bagna dobrze zamarzną, to pomyślimy co robić.

Po tych słowach, uchwyciwszy wpół małżonkę



„WIANKI”

— Ostatnia to rzecz, pono, przyzywać obcą pomoc do kraju — rzekł frasośliwie Władysław.

— Ach! mein Gott, mein Gott! — zawołała na ten raz czysto po niemiecku Agnieszka — ja poszłam za ciebie, żebym królowała na całym królestwie nie na kawałku!...

— Tych kawałków mamy sporo — zrobił uwagę książę.

— Ale poddani twoich braci nie sobie z nas nie robią, byłem swoim i trzodą robią szkody na naszych granicach, polują na zwierza w naszych lasach, ile tylko zechcą, a ty nic na to!

Tu huragan wichru jesiennego tak przerażał, co zawył, i tak potężnie uderzył w okna, iż wzdygnął się książę i mimowolnie krzyżem świętym

swoją, wyszedł z komnaty. Agnieszka idąc, czule mu spoglądała w oczy i rzekła:

— Jak wypędziłeś już stąd hetmana Żeliszawa, tak pewnie i Goworka dla mej miłości wypędzisz? To szpieg twych braci. Cóż, najmilszy? — pytała pieścizotliwie

— Stanie się, jak chcesz, on mi niepotrzebny, niech idzie do którego z braci moich.

Wprawdzie świętej pamięci nasz ojciec powierzył jego pieczy Kazimierza, ale i Henryk jeszcze młody i przy nim dworzaninem będzie.

— Ten mruk. nieprzyjaciół Lustiga — dodała Agnieszka mrukliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KWIAT PAPROCI.

Bajka przez Stanisława Krauza.

W pewnym bardzo dużym lesie żyła sobie rodzina zajęcy. Młode pokolenie już podrosło i razem z matką wychodziło z rodzinnej kotlinki w głąbi lasu na pola, gdzie można się było doskonale pożywić w młodych zbożach i jarzynach.

Zdawałoby się, że niczego zajęcej rodzinie do szczęścia nie brakuje, ale tak było tylko z pozoru, w rzeczywistości zaś żyły biedne zajęczki w ciągłej trwodze i zmartwieniach. W lesie pełno wrogów zajęczego rodu czycha na nieostrożnych, by ich schwytąć i zjeść na obiad, w polach ludzie straszą, a co gorsza, psy wiejskie spokoju nie dają. Gdy zajęczki wejdą w zboże lub w marchew, aby choć trochę się pożywić, muszą wciąż słuchać, czy nie skrada się jaki Burek, lub Rozbój. Choć psy mają drążki, zawieszane na szyi, żeby małych zajęczków nie łąpały, niewiele im to przeszkadza i już wielu biedaków zadusiły. W lesie zaś tego roku tyle się namnożyło lisów, że aż strach, i niema kawałka lasu, żeby nie było lisiej nory. A lisy — to straszni wrogowie zajęcy! Starego nie dogonią, lecz młody nie umie jeszcze tak dobrze biegać, i jeśli nie jest ostrożny, łatwo dostać się może na śniadanie dla lisiej rodziny.

W zajęcej rodzinie, o której chcę wam powiedzieć, był jeden najmłodszy zajęczek, którego matka i wszystkie znajome zajęce przeżywały Skoczkiem, bo był bardzo wesoły, ciągle skakał, dokazywał i figlami słynął na kilka mil dokoła w rodzinnym lesie nad rzeką Trupieńcem, koło Kielc. Skoczek był jeszcze bardzo młody, lecz lubił rozmyślać nad różnymi rzeczami, a wszystko go interesowało niezwykle. Ciągłe zadawał matce pytania:

— A czemu w lesie tak ładnie pachnie? A dlaczego zajęce nie mieszkają w takich domach, jak ludzie we wsi Słowiku?

I inne pytania rozmaite, na które matka zwykle nie odpowiadała, bo miała dużo zajęcia z braćmi i siostrzycami Skoczka: trzeba było wyprowadzić ich ostrożnie w pole na obiad, polizać, tj. umyć, podstać na posłanie mchu z własnego włosia. Skoczek więc sam sobie musiał odpowiadać na pytania, lub iść na zabawę lub pogawędkę do rodziny polnych myszek, z którą się zaprzyjaźnił bardzo, a która miała swoją norkę na skraju lasu.

Tam o zachodzie słońca zbierały się myszki i bawiły się ze Skoczkiem w różne zabawy: w chowanego, w zbójców itp.; tylko w kotka i myszkę nie bawili się nigdy, bo polne myszy nie mogły nawet myśleć o kocie bez drżenia.

Życie polnych myszek nie jest tak słodkie, jak się zdaje! Mają i one swoje trwogi, i one padają

setkami ofiarą kotów, lisów i innych zwierząt. A i ptaki niektóre nie gardzą temi małym stwórczonymi; np.: wrony, jastrzębie — wszystko to spada niespodzianie i porywa rodzicom — myszkom ich dzieci.

A ile to się trzeba nachodzić za ziarnkami na obiad dla licznej rodziny! A po żniwach jeszcze trudniej się ukryć, w ściernisku wrony wnet dojrzają.

Gdy Skoczek przychodził odwiedzać myszą rodzinę, lżej im było: on się użalał na zajęczą dolę, a one opowiadały mu swoje troski. A potem zaczynały się zabawy i o biedach zapominano.

Nasz Skoczek w porównaniu z polnemi myszkami był olbrzymem, Guliwerem, a one Liliputami: wshodziły mu na grzbiet, a on je woził na sobie figlował z niemi i doskonale im było ze sobą.

Czasem i myszki przybiegały do zajęcej rodziny w odwiedziny i wszyscy razem bawili się wtedy ślicznie. Czasem wybierali się wszyscy do kąpiel, do małego strumyka leśnego, i wtedy małe rybki opowiadały im różne cuda o swem życiu podwodnem.

Pewnego dnia matka Skoczka zwołała swe dzieci i zapowiedziała im, że pójdą na dość dalekie pole, gdzie zasadzono kapustę. Już dawno pragnęły zajęczki tego przysmaku, więc z ochotą przygotowały się na wycieczkę.

Matka szła na przodzie, cichutko, ostrożnie, podnosząc się co kilkanaście kroków na tylne łapki i oglądając naokoło, czy nie widać czego niebezpiecznego. Wszystko jednak było cicho i spokojnie, więc nasze zajęczki szły dalej. Po godzinie wędrówki doszła nareszcie cała rodzina do pola z kapustą i z zapalem zabrała się do przysmaku. Młode listki chrupały w zębach siedmiu młodych zajęcy i matki, jak kruche ciasteczka w ustach naszych czytelników. Kapusta jest bowiem dla zajęcy najlepszym ciastkiem.

Matka nie jadła dużo, bo musiała stać na straży. Pole leżało dość blisko wsi i mogli nadejść ludzie. Naraz stara zajęczyca drgnęła i nadstawiła długich uszu: zdaleka doszedł ją straszny odgłos — szczekanie psa! Dała cichy znak dzieciom, żeby były gotowe do ucieczki. Szczekanie dochodziło coraz wyraźniej i o rżoz! gdy matka wyjrzała na drogę, podniósłszy się na tylne łapki, zobaczyła wielkiego kudłatego psa, który biegł w stronę kapusty, potracając nogami o kij, zawieszony na szyi.

Czas był zmykać! Ale to gorsze, że trzeba było przebiec duży kawał ugoru, na którym pies łatwo ich mógł dostrzedz. Ale trudna rada, zostać w kapuście byłoby jeszcze niebezpieczniej, ponieważ pies zwęszyłby wnet zajęczą rodzinę. Nie mogli więc inaczej postąpić, jak tylko pocichu wyjść z kapusty i, chowając się za zagony i kępki roślin, przekradać się do lasu. Już uszli w ten sposób połowę drogi i

matka zaczynała odzyskiwać spokój, gdy wtem nieostrożny Szaruś, jeden z rodziny, potknął się o jakiś korzeń i upadł, a to podniosło trochę kurzu ze spieczonej przez słońce ziemi. Ciąg dalszy nastąpi.

NA PODWÓRZU.

Na podwórzu bawiły się dzieci. W końcu podwórka był mały osztachetowany ogródek, i przy nim siedziało kilka dziewczynek.

— Chodźno Karolku, zawołał jeden z chłopczyków, będziesz furmanem, a ja koniem.

Takie niegrzeczne zaproszenie nie spodobało się

odezwiała się jedna z dziewczynek. Żeby to można się do nich dostać.

— Tobys ich narwała? — zapytała Basia.

— O! cały bukiet.

— A kiedy to nie twoje.

— A cóż to szkodzi? Jest ich tyle! I zaczęła sięgać przez kraty to ręką, to patyczkiem, aż wreszcie, pomimo napomnień Basi, przyciągnęła jeden kwiatek i urwała.

— „Jakaś ty niegrzeczna! — zawołała Basia i pobiegła przez podwórze do domu, a za nią Staś pokłusował.

— Mamo kochana, zawołała Basia, już ni-



CO TERAZ BĘDZIE?

Karolkowi, nic jednak nie mówiąc, ruszył do zabawy. Kiedy tak biegają, ale nie w tę stronę, gdzie chce Karolek, choć był furmanem, tylko w tę na którą koń pociągnął, lejce mu się poplątały i gdy Karolek chciał je uporządkować, chłopczyk co konia udawał, zaczął go kopać i ugryzł w rękę.

— Aj! krzyknął Karolek, oglądając czerwoną plamę po zębach na rękę, Baw się sam, kiedy gryziesz.

— To mniejsza, ty delikaciku — krzyknął chłopczyk i pobiegł z drugim w około podwórza.

— Jakie to kwiatki piękne w tym ogródku —

gdy z dziećmi na podwórzu nie będę się bawiła.

— I ja tak samo, odezwał się Staś.

— A to dlaczego?

— Bo niegrzeczni — odrzekły dzieci. Chłopcy, jak hajdamaki, kopią, gryzą, a dziewczynki zrywają kwiatki. Mama zaś zabroniła nam bawić się z niegrzeczniemi dziećmi.

— Cieszy mnie wasza pamięć na moje przestrogi, tak zawsze postępujcie, bo kto z kim przestaje, takim się sam staje, a czy chciałbyście zostać takimi niegrzeczniemi.

— Och! nigdy Mateczko, nigdy!

FELIKS PORĄBKA.

POGADANKI Z DZIADUSIEM.

O MYDLE.

Ciąg dalszy.

— Otóż jeżeli teraz na popiół wlejemy gorącą wodę, to ona przechodząc przez popiół i ściekając do naszego kociołka, da nam śliski, klarowny i gryzący płyn, który właśnie nazywamy ługiem. Płyn ten staje się dlatego takim, ponieważ woda przeciekając przez popiół, rozpuściła zawarty w nim minerał, zwany potaszem, który ma tę własność, że przy myciu, lub praniu łączy się z brudem. Wiecie teraz, co nazywamy ługiem i jak się go robi?

— Tak, dziaduniu, ług otrzymuje się przez polewanie wrzącą wodą popiołu drzewnego, a jest śliski przy dotknięciu i gryzący — odpowiedziała Jadzia.

— A jaki minerał zawiera w sobie ług?

— Potasz! — odpowiedział Tadeusz.

— Jaką ma własność ten minerał?

— Przy myciu łączy się z brudem, odpowiedziały razem dzieci.

*

— Bardzo dobrze, widzę, że pojmujecie rzecz. Podobnie zrobionego ługu używa się do mycia, lub prania różnych rzeczy, jak np. podłogi, bielizny itp. A teraz zróbmy już ług. To mówiąc, dziadus powołał wodę na popiół.

— W mydlarniach — mówił dalej dziadus, ług robi się także z popiołu, do którego zwykle dodają wapna niegaszonego.

— Co to jest dziadziu, wapno niegaszone? — zapytał Tadeusz.

— Niegaszonym wapnem nazywamy wapno, otrzymane po wypaleniu w wielkich piecach kamieni wapiennych i nierozpuszczone jeszcze w wodzie. Rozpuszczone w wodzie tworzy niejako białe ciasto, zwane wapnem gaszonym i używane bywa do budowy, w którym to celu mieszają je jeszcze z piaskiem. Otóż we fabrykach mydła, czyli w mydlarniach, taką mieszaninę z popiołu i wapna sypią do dużych kadzi o podwójnych dnach; górne dno w każdej kadzi jest dziurkowane i pokryte płótnem, na to dno sypie się powyższą mieszaninę i zlewa się ją wrzącą wodą. Woda, przechodząc przez popiół i płótno, jak to widzieliście w naszym kociołku, tworzy ług przecedzony, który się zbiera w dolnej części kadzi, skąd po upływie kilku godzin zlewają go do wielkich żelaznych kotłów.

— A co oni robią z tym ługiem w żelaznych kotłach? — zapytała Jadzia.

— To, co i my zaraz zrobimy z naszym ługiem: gotują go, a raczej wygotowują wodę. W mydlarniach wprawdzie gotują ług dopiero po kilku godzinach od zrobienia go, my jednak nie będziemy długo czekali, ale zaraz zabierzemy się do roboty mydła. Przecedzimy sobie tylko jeszcze raz nasz ług i zaczniemy go gotować. Podaj mi, Jadziu jakiegolwiek naczynie.

Jadzia spełniła życzenie dziadusia, który jeszcze raz przecedził ług, wypłukał poprzednie naczynie i wlał naład doń czysty ług i kociołek z nim postawił na ogniu gazowego pieca. Ponieważ płyn był jeszcze gorący, więc rychło się zaczął gotować. Wówczas dziadus zawołał:

— Baczność, dzieci! bo rozpoczyna się na dobre fabrykacja mydła. Przy tych słowach ku zdumieniu dzieci, dziadus zaczął wrzucać poprzednio przetopiony tłuszcz, który w gorącym ługu prawie natychmiast się rozpuszczał. Wreszcie, gdy ukończył tę czynność, odezwał się do dzieci:

— Cała nasza praca teraz polega już tylko na gotowaniu tej mieszaniny z ługu i tłuszczu.

— Czy i w mydlarniach tak samo postępują? — zapytał Tadeusz.

— Zupełnie tak samo, z tą tylko różnicą, że kiedy my używamy małego kociołka, w mydlarniach używają wielkich kotłów, pod którymi pali się ogień. Te kotły, jak wam już powiedziałem, napełniają ługiem, który z a g o t o w u j ą i do którego potem wrzucają kawały różnego tłuszczu, powstałego z przetopionego łoju zwierzęcego. Mieszaninę tą gotuje się przez kilka godzin. Ługi w mydlarniach tak są ostre i mocne, że rozpuszczają nie tylko tłuszcz, ale nawet kości.

— A w naszym ługu rozpuszczają się kości? — zapytała Jadzia.

— Nie jestem pewien zupełnie, bo nie wiem, czyśmy dosyć użyli popiołu, ale jeżeli masz jaką kosteczkę, to możemy spróbować.

Jadzia zaczęła szukać i po pilnym poszukiwaniu znalazła małą kostkę z kury, którą mieli na obiad. Uradowana, wrzuciła ją do kociołka.

— O, jeszcze się nie rozpuściła — zawołał Tadeusz.

— Kość to nie śnieg, ani nie cukier, żeby w jednej chwili się rozpuściła w wodzie ługowej, trzeba jeszcze poczekać.

— A jak długo będziemy czekać? — zapytały dzieci.

— W mydlarniach gotują kilka godzin ług z tłuszczem, ale my nie będziemy tak długo czekali, improwizowany nasz kocioł jest stosunkowo do fabrycznych bardzo małym i zawiera w sobie mało mydła do wygotowania, toteż prędzej się wygotuje, ale z godzinę czasu to nam jeszcze zajmie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyi: **MACIERZ POLSKA,**
41 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyi: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET, CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA**AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE
Issued at Chicago every ThursdayEditor's address: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month Single copy 8 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

ROZMAITOŚCI.**Nowe kopalnie dyamentów.**

Przez dłuższy czas rozchodziły się pogłoski o odkryciu kopalni dyamentów w naszym kraju, czemu jednak ze względu na różne sensacyjne odkrycia, tak bardzo powszechne w Ameryce, a zwane zwykle błagą amerykańską, nie dawano wiary. Obecnie jednak faktycznie już stwierdzono, że kosztowne te kamienie znaleziono w Indyanie, Michiganie, Ohio, Virginii we Wisconsinie. W roku 1855 we Virginii znaleziono dwudziestokaratowy dyament. Nowo odkryte przed rokiem kopalnie dyamentu w Pike powiecie, Ark., zupełnie podobne są do wielkich Kimberley'a kopalń dyamentów w Afryce. Przestrzeń arkansaskich kopalń zajmuje sto akrów. W pierwszym wykopaniu kamieniu znaleziono w lecie r. z. więcej niż 130 drogocennych kamyków, z których największy ważył 6 i pół karatów.

Dyament, jak wiadomo, niczem innem nie jest, jak tylko czystym skrysztalizowanym węglem, Dyament jest najtwardszym ze wszystkich znanych dotąd ciał; zwykle jest przezroczysty, często jednak zdarzają się żółte, szare, brunatne, czerwone, zielone, a nawet czarne. Oszlifowany odznacza się przedziwnym blaskiem;; pięknie oszlifowany dyament w pewną formę nazywa się brylantem i jest bardzo kosztownym ze względu na pracę szlifiarską i formę brylantu, jak również ze względu na blask, jaki rzuca brylant. Blask ten, czyli jak mówią ogień, zależy nie tylko od starannego oszlifowania,

ale i od formy, jaką szlifierz nadaje dymentowi.

Dyamenty już dzisiaj mogą wyrabiać sztucznie, w tym celu krystalizują czysty węgiel rozpuszczony w roztopionem żelazie, lub srebrze, które potem oziębia się nagle pod silnem ciśnieniem. Spółób ten wynalazł Moisson w r. 1893. Najbogatsze kopalnie dyamentów znajdują się w Brazylii, w Indjach i w Afryce. Wydobywa się je tak, jak złoto, rodzime przez płókanie.

Pożary w Stanach Zjednoczonych.

Według statystyki pożarów w kraju wypada, że w tygodniu spalają się: trzy teatry, trzy publiczne hale, 12 kościołów, 10 szkół, 2 szpitale, 2 przytułki, 6 mieszkań, 3 składy departamentowe; dwa więzienia, 26 hoteli, 140 jednopiętrowych i 160 parterowych domków, nie licząc kurników, psich bud i innych apartamentów rogatęj i nierogatęj rzeszy czworonożnej po farmach. Tak wielka ilość pożarów nie zdziwi nikogo, gdy sobie przypomnimy, że Stany Zjednoczone to kraj, gdzie większość budowli jest z drzewa.

Tabliczka mnożenia.

Po przeczytaniu tego tytułu niejedno z was, dzieci, pokręci noskiem i powie sobie: „lepiej żeby to była jakaś historyjka ciekawa, a nie mnożenie, o którem nasłuchamy się dosyć w szkole”. Zapewne, że różne ciekawe powiastki z przyjemnością się czyta, lub słucha się ich; to z daleko większą, niż się słucha wykładu nauczycielki np. o mnożeniu ułamków mieszanych. Cóż jednak robić? Na świecie widzicie, dzieci, nie zawsze możemy czynić to, co nam sprawia przyjemność i co nam się podoba, ale musimy wypełniać to, co jest naszym obowiązkiem, choćby on nie był nam przyjemnym, Zresztą, same z dotychczasowego życia waszego wiecie, że nie raz już musiałyście wykonać coś takiego, czego wam się zrobić nie chciało i co nie zawsze było wam przyjemne. Ile to naprzykład dzieci chodzi niechętnie do szkoły; gdyby to od nich zależało, wcaleby do szkoły nie chodziły. Zamiast iść do szkoły, walałyby się po ulicach, ogrodach, lub polach. Czy nie tak?... Tak samo i z mnożeniem, wolałybyście powiastkę, a ja wam mówię o mnożeniu, ale bo też ono jest nam wszystkim bardzo potrzebne, choć o tej jego potrzebie nie tylko dzieci, lecz i dorośli bardzo często nie chcą wiedzieć i wiele z ludzi jak i wiele z was nie umie mnożenia!

— Czy to prawda? — zapytacie zdumione. — My umiemy tabliczkę mnożenia — odpowiadacie.

No, nie chcę ja się tam z wami spierać i egzaminować was z tabliczki mnożenia, jednak twierdząc śmiało, że dużo jest takich dzieci, które, choć się

uczą mnożenia i choć może umieją na pamięć tabliczkę mnożenia, jednak mnożyć, czyli zastosować tabliczkę mnożenia w codziennym życiu nie umieją.

Słyszę, jak wołacie, że to nie może być, bo kto się uczy i kto się nauczy dobrze tabliczki mnożenia, ten umie mnożyć. Powiedzcie mi, czy przypadkiem nie znacie Kasi i Janka Fafulskich? Nie znacie, więc wam ich przedstawię,

Kasia i Janek Fafulscy są to brat i siostra. Kasia jest starszą, ma lat 13, a Janek jest o rok młodszy. Obydwoje mają rodziców i chodzą do szkoły;

dzi leniuchów z pościeli, wtenczas, wiecie, co te dzieci robią? — Siadają na swoich łózkach, podpierają sobie rękami brody i niby myślą. Trwa to zwykle drugie dziesięć minut, wreszcie Janek, znęcony zapachem świeżej kawy, ciastek i bułeczek, podnosi głowę, spogląda na siostrę, pokazuje jej język, w tej samej chwili otwierają się różowe i niebrzydkie usteczka siostrzyczki; na świat Boży pokazuje się koniuszek czerwonego języczka, co ma oznaczać odpowiedź bratu na jego ranne pozdrowienie. Po takim „dzień dobry”, rozpoczyna się ubieranie na gwałt, bo mama nakrywa już stół do śniadania,



POŻAR PRERYJ.

Kasia jest w siódmej klasie, a Janek w szóstej. Jedno i drugie nie są zupełnie złymi dziećmi, owszem, nazwaćby je można dobrymi dziećmi, gdyby nie pewne przyzwyczajenia, których nabyli i z których nie chcą się poprawić.

Ciekawe jesteście dowiedzieć się, co to za przyzwyczajenia mają te dzieci?

Otóż najprzód, gdy mama zrana pobudzi dzieci, Kasia i Janek mają ten zwyczaj, że nie wstają natychmiast, ale leżą sobie pod kałderkami z jakie 10 minut, przeciągając się. Gdy mama wreszcie spę-

Przy tej czynności rzadko obchodzi się bez kłótni i bez tego, żeby mama nie potrzebowała się wmieszać. Przyczyna zaś tego jest, że Kasia i Janek nigdy nie mają w porządku ułożonych części swojego ubrania. Gdy się rozbierają wieczorem, to zwykle rozrzucają na wszystkie strony ubranie, nic dziwnego, że rano Kasia zamiast swojej pończoszki wciąga na nogę pończochę brata i dopiero później spostrzega swoją pomyłkę, poczem następuje wzajemne ciskanie ubraniami i kłótnia: „oddaj mi moją pończochę! to mój trzewik itd.” Dopiero energ-

czne wmieszanie się mamy, a często i klapsy uspakajają dzieci i doprowadzają do porządku. Lecz nim to nastąpi, dzieci tracą najmniej pięć minut czasu.

Po śniadaniu dzieci wybierają się do szkoły, tu dopiero rozpoczyna się prawdziwy rozgardyas i rwetes, bo dzieci nie mogą znaleźć swoich rzeczy i przyborów szkolnych, które porozrzuciły po całym domu. „Gdzie moja książka? — woła Kasia, Gdzie się podział mój zeszyt? — kłopotce się Janek, szukając po wszystkich kątach zeszytu, który leży pod stołem. — Kto mi znów zabrał ołówek? — narzeka Kasia, zapominając, że ołówek zostawiła w klasie. Że też to zawsze trzeba szukać tych rzeczy! — narzekają obydwójce. — Niema ołówka! — woła Kasia, — nie ma zeszytu! — wtóruje Janek. — A ja nie mam zrobionego zadania angielskiego! Co to będzie? jak się wytłómacze Siostrze- — biada niepokojna Kasia.

— Nie umiem geografii i historii Stanów Zjed., odpowiada Janek, Siostra się znów będzie gniewała na mnie — dodaje smutny. Nie nauczył się wczoraj, bo z towarzyszami cały wolny czas spędził na zabawie.

— Kiedy wy się, dzieci, wybieriecie do szkoły, już tylko dziesięć minut macie czasu — woła mama.

— Zaraz, mamó! — odpowiadają dzieci.

— Nie mogę znaleźć zeszytu — tłumaczy się Janek.

— Gdzieś mi zginął ołówek — skarży się Kasia.

— Śpieszcie się, bo się znów spóźnicie — upomina mama. — Kiedyż się nauczycie utrzymywać w porządku wasze przybory szkolne! — Tyle razy was upominam i proszę, abyście się oduczyły tego nieporządku,

— Ja, mamó, nie mogę za to, że się gdzieś ołówek zapodział — usprawiedliwia się Kasia, to samo czyni Janek.

Wreszcie po stracie piętnastu minut na poszukiwaniu to książki, to zeszytu, to ołówka, popakowawszy do torb, co wpadło pod rękę, dzieci wychodzą do szkoły. Kasia w torbie niesie Janka katechizm i nie ma ołówka, Janek w swojej torbie niesie książkę rachunków Kasi i czytankę angielską. Czasu mają już tylko pięć minut, gdyby się pośpieszyli mogliby jeszcze na czas zdążyć, Ale Janek i Kasia nie lubią pośpiechu, zresztą na wystawach w oknach i na ulicach znajdzie się zawsze coś ciekawego, co je i podobne im dzieci zatrzyma na chwilę. Tam koń upadł, dalej znów stanął tramwaj, owdzie gromadka ludzi coś żywo rozprawia, dalej zaś widać kataryniarza i osiołka, co ciągnie wózek z katarynką; tam znów jedzie wóz, ciągniony przez dwa muły; na wozie w budzie dzwoni kobieta,

to uliczna piekarnia, gdzie dzwoniąca kobieta na poczekaniu piecze dzieciom małe placuszki i ciasteczka. Kasia i Janek na wszystko muszą popatrzeć, przystają więc i gapią się to na konia, to na stojący tramwaj, to na kataryniarza; gdy z wozem piekarnią nadjechała kobieta, obydwójce podbiegli do wozu i zapominając, że tylko co jedli śniadanie i że każde z nich niesie w swej torbie przekąskę, każą sobie za 5c upiec ciastek, które gryzą i gapiąc się na wszystkie strony, idą dalej ku szkole. Możliwe myśleć, że teraz już wprost pójdą do szkoły, ale nie. Na narożniku ulicy stoi kamienica, a w niej apteka z wielkimi i ładnie przybranymi oknami. W jednym z nich wystawione jest małe akwarium ze złotymi rybkami. Stanowi ono wielką atrakcję dla dzieci. Często można spotkać tam całą gromadę dzieci z książkami pod pachą stojące i przyglądające się pływającemu rybkom. Kasia i Janek to akwaryum widzieli już i gapił się na rybki bardzo wiele razy, nic ciekawego nie przedstawia ono dla nich, mimo to jednak nie mogą przejść koło apteki, aby nie przystanąć i nie pogapić się na rybki, jakby one nie mogły się obejść bez tego. Wreszcie Kasia spogląda na wielki zegar, wiszący nad akwaryum i zdziwiona woła:

— Janku, patrzaj, to już dziewiąta godzina dochodzi, spóźnimy się do kościoła na Mszę św.

Po tym wykrzykniku i po stracie trzech kwadransy czasu na próżne gapienie się, dzieci biegną prędko do szkoły, a raczej do kościoła na zwykłą, codzienną Mszę św., no i naturalnie przybiegają akurat wtenczas, kiedy już dzieci wychodzą z kościoła na naukę do szkoły. Podobnie bardzo często już to Janek już to Kasia posłani przez matkę do jakiego składu czy to po cukier, czy po chleb, lub t.p. rzeczy, nigdy nie idą prosto za interesem, ale przystają i gapią się na różne rzeczy, nie bacząc, że marnują czas i do niecierpliwości nieraz doprowadzają matkę.

Rozważcie teraz, mali moi czytelnicy, czy te dzieci traciłyby napróżno tyle drogiego czasu, gdyby umiały zastosować w swoim życiu codziennym mnożenie? Czas to pieniądz, powiada przysłowie, ale ma on jeszcze większą wartość, niż pieniądze, bo pieniądze choć się zgubi, to można je znaleźć, albo znów zarobić, ale zmarnowany czas nigdy już nam nie wraca. Zobaczcie teraz, ile to tego czasu marnują Kasia i Janek.

Najprzód po obudzeniu na przeciąganiu się i na bezmyślnym siedzeniu tracą 20 minut; przy ubieraniu się w skutek nieładu w ubraniu i wzajemnych psot marnują najmniej 5 minut; na szukaniu i uporządkowaniu szkolnych przyborów przed udaniem się do szkoły tracą pół godziny, drugie tyle marnują na niepotrzebne gapienie się na ulicy; nadto w ciągu dnia zmarnują dwie godziny na róż-

ne niepotrzebne rzeczy. Razem dziennie tracą 3 godziny i 25 minut. W ciągu tygodnia marnują w ten sposób najmniej 23 godziny i 55 minut, czyli blisko całą dobę! W roku zaś zmarnują 1243 godziny i 4 m., co czyni prawie 52 doby, albo jeżeli przjmiemy 10 godzin pracy na dzień, otrzymamy 124 dni, pracy, czyli przeszło 4 miesiące czasu, przeznaczonego na pracę, zostało zmarnowane bez żadnej korzyści. A coby to można było zrobić w przeciągu tego czasu?!

F. Orczyk.

Dokończenie nastąpi.

BORSUK.

Borsuk jest to zwierzę dzikie, pewnie wam nieznane, Mieszka w lesie pod ziemią — w jamie zagrzebane, Sypia przez całą zimę, niczem się nie żywi I wtedy nań z pieskami polują myśliwi.

Właśnie wytropił strzelec takiego borsuka: Lecz borsuk siedzi w jamie, dostać go — to sztuka; Ma jednak strzelec pieski, zwą się jamnikami, Te wypłoszą wnet śpiocha ostrymi ząbkami.

Słyszy borsuk szczekanie: podniósł nos do góry, Zwęszył psy, co się dobrać chcą do jego skóry, — Więc wymyka się z jamy — w tem strzelił myśliwy: Paf!! i nasz borsuk leży już nieżywy...

K. Wachtel.

Pożar preryj.

Obrazek pod tym tytułem przedstawia nam pożar preryj, czyli stepów, w dali widać płomienie i cały widnokrąg zasłonięty dymem rozszałęgo żywiołu: na przedzie widzimy farmerów na gwałt spędzających stada owiec; spłoszone i ogłupiałe od przerażenia, tłoczą się jedne przez drugie — czy unikną strasznego żywiołu?... Takie pożary stepów, a często i lasów nie należą do rzadkości u nas; poniżej podajemy czytelnikom barwny opis pożaru preryj według Maryata.

Odbywaliśmy podróż przez Texas. Na noc przyszło się rozłożyć wśród stepu nieprzejrzanego, Przed świtem począł dąć wiatr ostry i huk jakiś przytłumiony, jak gdyby gdzieś w dali trzody, była dzikiego pędziły cwałem, dochodził uszu, i konie nasze widocznie czuły jakieś niebezpieczeństwo, bo coraz bardziej się niepokoiły, a wreszcie jak szalone rwały się z uwięzi. „Na koń! — zawołałem — preryja się pali”, a bawoły tuż na karku; Wszyscy zerwawszy się na równe nogi, w oka mgnieniu siedliśmy na koniach, a te, ile tylko zdołały wyskoczyć, ruszyły z miejsca. Wkrótce ryk daleki, z wyraźniejszymi głosami różnych zwierząt zmieszany,

obił się nam o uszy, a za nimi płomienie, z większą niż wiatr szybkością, ogarniały zeschle trawy stepu. Istne morze ognia toczyło się za nami! Zwierz wszelki, przed straszną uchodząc śmiercią, jak strzała około nas przemykał; jelenie obok wilków, stada łosi jakby nie nas miały; poczem znów pędził tu koń dziki, tam bawół olbrzymi. Powietrze stało się gęściejsze i duszniejsze; upał coraz bardziej dokuczał, a tentent coraz głośniejszy i wyraż-



CO TO JEST?

niejszy rozlegał się po przestworze stepowym.

Bo też coraz bliżej i bliżej z szumem wichru pędził tłum ciężkich i niezbyt szybkich zwierząt. Bawoły i konie dzikie, wszystko zbite w olbrzymią ciemną masę, w zagan na milę szeroki i długi, depcząc wszystkie przed sobą przeszkody, waliły się naprzód wśród tumanów kurzu, i już ledwie o pół mili były od nas oddalone. Konie nasze już prawie

ostatnich sił dobywały. Mieliśmy się za zgubionych; jeszcze minut kilka, a czekała nas śmierć straszna: roztrатовania na miazgę.

W tej chwili okropnej najdoświadczeńszy i najprzeczniejszy z pomiędzy nas zawołał głosem potężnym: „Z koni! koszule, suknie, co tylko jest z bielizny i odzieży, a zgoła materyału palnego, wszystko rzucić na kupę — a śpiesznie, bo ani chwili nie ma do stracenia!” A domawiając tych słów, już zatlął gąbkę i jął podpalać stos, na prędkę nałożony. W kilka minut stos buchnął jasnym płomieniem, a od niego zajęła się dokoła zeschła trawa. Tymczasem przybywał i ów pędzący tłum zwierząt za nami, a ujrawszy i przed sobą ogień, przerażający ryk wydał; ale nie zmieniając kierunku, wprost ku ogniovi się walił. Mogliśmy już rozróżnić i nogi zwierząt i rogi i białą u pysków pianę. Coraz bliżej a bliżej nadciągała ta trwogą pędzona masa, przed którą w żadną stronę umknąć nie było można, śmierć niechybna! Zasłoniwszy twarz, rzuciłem się na ziemię, doli swej oczekując.

Naraz rozległ się strzał jakby z pistoletu, a tuż za nim ryk z tysięcy paszcz bawolich. Podniosłem głowę i nieśmiało spojrzałem. Na stosie naszym wiał się w górę płomień niebieski i on to przeraził zwierzęcą łuszcę. Zrozumiałem co to było. Towarzysz nasz nieustraszony wrzucił w ogień flaszkę z wódką, i ona to pękając, huk on, do strzału podobny wydała, a wódka wzniosła się w górę niebieskim płomieniem. Widok ten przeraził pogoń bydłą i sprawił, że się rozstąpił wał ten olbrzymi dotąd zbity, aby wyminąć słup ten ognisty. Ale rozstęp w tej masie pędzącej był tylko wąską szczeliną, taką tylko, jakiej było potrzeba na wyminięcie naszego ogniska. Znaleźliśmy się więc pośród tej olbrzymiej masy zwierząt, nie widząc koło siebie nic, prócz rozwianych grzyw pędzącego bydła. W tem niebezpiecznem położeniu przebyliśmy może godzinę wśród strasznej niepewności, czy też lada chwila nie zamknie się za nami ta mała szczelina, a tłum zwierząt nie zwali się na nas. Wreszcie poczęły się przerzedzać szeregi, a potem tylko pojedynkiem wlokły się jeszcze, dopóki mogły, zwierzęta osłabione, marudery, które nie zdołały podążyć z całą olbrzymią masą.

Odetchnęliśmy, Każdy dziękował Bogu, że go ominęło to straszne niebezpieczeństwo. Ale zaledwo o tem pomyślał, zaraz sobie przypomniał, że mu grozi drugie, równie straszne: śmierć w płomieniach. Albowiem coraz bliżej sunęły się za nami jak smoki, ogniem zionące, palącego się stepu płomienie. Dosiadłszy więc znów koni, popędziliśmy w ślad za ową masą zwierząt. Wiatr ranny przyspieszał wzmaganie się pożaru. Już niedaleko za sobą mieliśmy to morze ognia, gdyśmy spostrzegli, że wyprzedzający nas tłum zwierząt zatrzymał się

nad głęboką przepaścią, w którą szereg za szeregiem tysiącami waliło się bydło. W trwodze śmiertelnej bodliśmy konie ostrogami; przepaść przed nami miała nas ocalić, albo stać się grobem. Skok — a znaleźliśmy się w niej prawie nieprzytomni, tak, że nikt z nas nie umiał zdać sobie sprawy, jak się to stało. Za osobliwszą łaską Bożą i my i konie nasze uszliśmy cało; przynajmniej bez znaczniejszej szkody. Stosy bydła, które przed nami przewalały się w przepaść, były dla nas posłaniem, wprawdzie nie miękkim, ale zawsze znacznie zapełniły ją sobą. Skok nasz był prawdziwie śmiertelnym, istnym, tak zwanym „salto mortale”, bo kiedyśmy przyszedli do siebie i ocknęli się z przerażenia, ujrzeliśmy, że znajdujemy się przynajmniej o sto stóp poniżej brzegu. Z biedą wydobyliśmy się z pośród stosów poległych i konających zwierząt, na małą przestrzeń wolną, zabezpieczoną od pożaru wodą rzeki, która w tym wąwozie płynęła. Dnia następnego ulewny deszcz zgasił pożar stepu,

➡ BEZ RODZINY. ➡

WEDŁUG POWIEŚCI
H. MALOTA.

(Ciąg dalszy.)

— Miesiąc już temu nakazywałem ci w liście — odpowiedział — żebyś go odstawiła do wójta. Gmina się nim zaopiekuje, a nie my, sami dziś niedzarze. Doradził mi tak zrobić Karol, mądry, oj! mądry chłop. Cztery skargi napisał w szpitalu i sprawił to, że nam pod koniec dwa razy tyle dawano jedzenia niż z początku. Taki we wszystkim mądry i w tem mi poradził: „Oddajcie go, mówi, do gminy. Na szpitalu i ochrony dla sierot osobne pieniądze składają, niechże się gmina opiekuje sierotami, kiedy na to od ludzi pieniądze zbiera.” Ja też zaraz napisałem ci: oddaj go do gminy, dla czego nie oddałaś? mówił coraz srożej. Nie słuchasz już męża, bo kaleka...

— Ach! — jęknęła matka z wyrzutem — jak możesz tak mówić, Wincenty.

— A dla czegoż nie oddałaś go dotąd? — pytał.

— Czy myślisz, że tak łatwo rozstać się z dzieckiem, które się własną wykarmiło piersią i uochało, jak rodzone? — wykrzyknęła matka.

— Więc lepiej będzie, gdy razem z nim z głodu pomrzemy? wrzasnął mularz.

— Och! — z płaczem skarżyła się matka — czyż na to wówczas podjąłeś z ulicy i przyniosłeś mi to maleństwo? Lepiej by było, żeby go nigdy na moje oczy nie widziała, żeby ono świata bożego nie oglądało! Mówisz, że z głodu pomrzemy, nie, tak źle nie będzie. Ja będę pracowała i starczy dla

nas i dla niego. Bo pomyśl tylko, Wincenty, żeby to zamiast Remiego, żył nasz synek rodzony, o! wtenczas tobyś nie pomyślał nawet, żeby go oddawać między obcych ludzi... Biedny mój Remi, biedny, mój sierotek nieszczeniwy, samutki, jak kołek na świecie...

Pzesunąłem się cichutko na inny róg poduszki, bo ten, na którym leżałem cały był mokry od łez moich.

— Ty serca nigdy nie miałeś, Wincenty, dla tego dziecka, ale ja mu nie dam zmarnieć — ciągnęła matka.

— No, uspokój się --- przemówił jakoś łagodniej Wincenty — nie zbój przecież ze mnie, ale widzisz, jemu lepiej będzie w ochronie. Dadzą mu odzienie i naukę,

— A Czy rodzone dziecko oddałbyś też do ochrony? zapytała matka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZAGADKI.

SZARADA.

Dwie pierwsze, wielokrotne rzeczy powtórzenie,
Mio trzecie z czwartem czyni, przed widokiem kryje
Wszystko twierdza, Polakom święte jej wspomnienie,
Tam każdy przed Królową Nieba czołem bije,
Tam Kordecki, Pułaski wsparci Jej opieką
Pierwszy Szwedów, a drugi Moskali w pień sieką.

ZADANIE KRÓLEWSKIE.

Z rozrzuconych zgłosek, posuwając linijką od kratki do kratki w rozmaitych kierunkach, ułóżcie początek wielosłowa Wincentego Pola.

nie	go	ele	li	ski	li
zna	swe	dze	chwa	wio	czne
sa	cie	cu	cie	ten	te
wie	mi	al	da	ne	kraj
cie	nie	sia	boż	cz	ko
co	po	nie	śli	cha	ny

FIGIEL LICZBOWY.

Czy można napisać liczbę: sto i pięćdziesiąt obok siebie, aby stanowiły czterysta?

Rozwiązanie zagadek z Nr. 37go.

Szarada: KA — RA — BIN.

Łamigłówna zgł.: EzaW, Ułamki. RozE, OgróD, Pie-rzE, Astrahań: Europa, Wiedeń.

Kwadrat magiczny.

B—A—N—K
A—Z—O—R
N—O—R—A
K—R—A—M

Z naszej korespondencji.

„Przyjaciół” z wielką przyjemnością otrzymał całą plikę listów od swoich młodych czytelników i przyjaciół. Pierwszymi jak i dawniej okazali się czytelnicy M. P. ze szkoły św. Wojciecha. Listy ich bardzo „przyjaciół” ucieczyły, dziękuję za nie i proszę o więcej; żałuję tylko, że wszystkich tych listów nie może pomieścić w M. P. Z nadsyłanych listów widać, że mali czytelnicy nie próżnowali w czasie wakacyjnym, lecz pracowali. Bardzo to pięknie, każda praca jest szlachetna i ona tylko uszlachetnia człowieka i zyskuje mu szacunek i poważanie w innych. Po odpoczynku pracujecie mali przyjaciele szczerze, ucząc się dobrze abyście potem byli pożytecznymi ludźmi i dla siebie i dla innych. — „Przyjaciół” radby też wiedział, co się stało i co się dzieje ze „Słowikiem” i z „Fljołkiem”?...

Drogi Przyjaciół!

W pierwszym moim liście opiszę Ci, jak spędziłem wakacje. Otóż w tym czasie musiałem robić wszelką robotę domową, jako to: drzewo rąbać, konie i krowy oprzątać i doglądać, kapustę okopywać, kukurydzę obradlać. W niedzielę zaś, gdy do mnie przyszedli moi przyjaciele, to zabawialiśmy się wspólnie, albo piłką, albo łowieniem ryb, lub przejażdżką na łodzi po jeziorze. Mamy aż dwie duże łodzie. W ten oto sposób przepędziłem czas wakacyjny.

Nauka w naszej szkole rozpoczęła się 2 września. W ten dzień rano wszystkie dzieci zebrały się w szkole przed 8 godziną, a o 8 godzinie poszły na Mszę św., po wysłuchaniu której rozpoczęliśmy naukę. W tym roku jestem w czwartym oddziale, w klasie naszej jest pięć oddziałów, które tylko jedna Siostra nauczycielka musi uczyć.

Kościół nasz odnawiają teraz. od czerwca mamy innego proboszcza, którym jest Przew. ks. Feliks Seroczyński. Kończąc mój list serdecznym pozdrowieniem.

Edward Frankowski,

ze szkoły św. ojciecha w Whiting, Ind. ...

Drogi przyjacielu!

! Już się rozpoczęła nauka w szkole. Wakacje miały dzieci 2 miesiące. Ja mam 4 czytanek polską i 4 czytanek angielską. Nas uczą Siostry Franciszkanki z Avondale. W kościele św. Wojciecha teraz będzie bardzo poeknie. Wielbny Ojciec Proboszcz przyjdzie też czasem odwiedzić nas, aby się przekonać jak się dzieci uczą. Ja uczę się wyszywać. Ja lubię najlepiej czytać w Macierzy Polskiej.

Twoja przyjaciółka,

Józefa Guzek,

ze szkoły św. ojciecha w Whiting, Ind.

Szanowna Redakcyo!

Ponieważ czytuję chętnie Macierz Polską, wiem dobrze, iż z Macierzy Polskiej dowiem się coś dobrego i dobrego przykładu nabiorę, bo Macierz Polska nikogo nie zgorszy, a osobliwie takie dzieci, jak ja, mogą się coś dobrego nauczyć. Donoszę ja, choć z mojego słabego rozumu, iż w naszym miasteczku jest już dość pięknie; u nas jest zaledwie 100 familii polskich. Z astaraniem naszego Wiel. O. ks. Sierocińskiego upiększają nasz kościółek; szkołę mamy piękną, murowaną, dwu piętrową, na duże klasy podzieloną. Na dole znajdują się klasy do uczenia, u góry pomieszkania dla Siostr.

Joanna Rostkowska.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacja łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patryotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r.

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30go czerwca, 1906 roku.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division Str. Chicago, Illinois.

ZARZĄD GŁÓWNY:

Ks. Franciszek Gordon, C. R., Moderator; Julian Szczepański, Prezes; Agnieszka Nering, I Wice-prezesa; Maksymilian Brochocki, II Wice-prezes; Wincenty J. Józwiakowski, Sekretarz Główny; Władysław Sztanka, Skarbnik; Paweł P. Kucharski, Dyrektor; Julian J. Nejman, Dyrektor; Feliks Augustynowicz, Dyrektor; Franciszek Siatkowski, I Marszałek; Jan Szpekowski, II Marszałek.

Ks. Feliks Ładoń, Redaktor; Dr. Bolesław Klarkowski, Lekarz Główny; Ludwik Jankowski, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; Teofil Gordon, Asystent Sekretarza Głównego; Ignacy Ciesielski, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. Piotrowski, Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza Głównego w Biurze Generalnem: W każdy wtorek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem; Skarbnika: W każdy poniedziałek i piątek od godziny 7 do 9 wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-jej do 10-jej. W niedziele, od godziny 3-jej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko-katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 46 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitariusz, za konstytucję i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50 centów; 16: 60c; 17: 70c; 18: 80c; 19: 90c; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitariusz 10c. Konstytucja 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00; Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c, assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci, obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równi wydatku na pośmiertne, na każdego członka z dołączeniem jednego centa do każdego wypadku.

1 Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki

W przypadku śmierci członka Macierz Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięczne.

Urzędowe sprawozdanie z obrotu funduszków Macierzy Polskiej.

Przychody w miesiącu Lipcu, 1907.

Sprawozdanie Sekretarza.

Nr. Oddziałów.	Data otrzym. listy opłat.	Wykaz pieniędzy.
I	10 Lipca	\$49.34
II	6 "	19.10
III	7 "	33.64
IV	2 "	10.01
V	13 "	20.98
VI	31 "	28.42
VII	17 "	17.53
VIII	10 "	35.63
IX	8 "	39.40
X	14 "	13.45
XI	7 "	8.00
XII	24 "	89.12
XIV	23 "	63.75
XV	22 "	53.58
XVI	6 "	11.20
XVII	13 "	14.40
XVIII	20 "	20.79
XIX	20 "	32.40
XX	22 "	32.75
XXI	26 "	17.05
XXII	8 "	5.04
XXIV	31 "	8.20
Oznaki złote Oddz. VIII		4.00
Złoty oznak " III		5.00

Razem \$ 635.60
Kasa 9,195.99
Suma 9,831.59

Sprawozdanie Skarbnika.

Nr. Oddziałów.	Data otrzym. przekazu.	Suma pieniędzy
I	30 Sierpnia	\$49.34
II	3 Sierpnia	19.10
III	29 Lipca	33.64
IV	1 Sierpnia	10.03
V	12 "	20.98
VI	30 "	28.42
VII	9 "	17.10
VIII	2 "	35.63
IX	12 Lipca	39.40
X	12 "	13.45
XI	9 Sierpnia	8.00
XII	26 Lipca	88.32
XIV	3 Sierpnia	63.75
XV	29 Lipca	53.58
XVI	12 Sierpnia	11.20
XVII	26 Lipca	14.90
XVIII	22 Lipca	20.79
XIX	9 Sierpnia	32.40
XX	2 "	34.35
XXI	2 "	17.05
XXII	26 Lipca	5.05
XXIV	2 Sierpnia	8.20
Oznaki złote Oddz. VIII		4.00
Za Oznak " III		5.00

Razem \$ 637.18
Kasa 9,193.74
Suma 9,830.91

Wydatki w miesiącu Lipcu, 1907.

Nr. przekazu	Data	Suma
539	5 Lipca	\$50.00
540	5 "	1.00
541	5 "	1.00
542	8 "	50.00
543	8 "	25.00
544	8 "	25.00
545	9 "	4.50
546	9 "	10.50
547	9 "	3.00
548	9 "	7.00
549	9 "	4.50
550	9 "	6.00
551	9 "	16.76

Suma \$504.26

Nr. kwitu	Data	Suma
539	5 Lipca	\$350.00
540	5 "	1.00
541	5 "	1.00
542	8 "	50.00
543	8 "	25.00
544	8 "	25.00
545	9 "	4.50
546	9 "	10.50
547	9 "	3.00
548	9 "	7.00
549	9 "	4.50
550	9 "	6.00
551	9 "	16.76

Suma \$504.26

Zestawienie za miesiąc Lipiec.

Kasa \$9,831.59
Wydatki 504.26
Pozostaje \$9,327.33

Kasa \$9,830.91
Wydatki 504.26
Pozostaje \$9,326.65

Długi Oddziałów.

Nr. Oddziału.	Wykaz długów.
II	3.40
IV	.72
IX	.05
X	.30
XII	.32
XV	.90
Razem długi	6.19

Nadwyżki Oddziałów.

VIII	2.91
XVII	.50
XX	2.10
Razem nadwyżki	\$5.51

Zestawienie:

U Skarbnika	\$9,326.65
Długi	6.19
Nadwyżki	9,332.84
Bilans	5.51
	\$9,327.33

W. J. Józwiakowski, Sekretarz.

W. Sztanka, Skarbnik

P. P. Kucharski, }
Julian Nejman, } Dyrektorzy.
F. Augustynowicz, }

Mądrej głowie dość na słowie.
Między drzwi palca nie wtykaj.
Mądry głupiemu ustąpi.
Nie mów hop, aż przeskoczysz.

PODAJCIE NOWE ADRESA.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali „Macierzy” regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA.

141—143 W. Division St. CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.

NADZWYCZAJNY PODATEK
NA POŚMIERTNE.

Cyrkularz Nr. 28.

Na miesiąc Październik r. 1907 wynoszący 34 centy.

Donoszę niniejszem, że na miesiąc Październik roku 1907 przypada podatek Nr. 28 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dn. 1-go lipca 1907 r., wynoszący trzydzieści cztery centy, na pokrycie niżej podanych wypadków pośmiertnego:

Wypadek Nr. 43 śp. Piotr Pulcyn, Oddz. 14; suma \$480.00.

Wypadek nr. 44 śp. Marta Stachowicz, Oddz. 24; suma \$30.00

Suma pośmiertnego do pokrycia cyrkularzem \$510.00.

Zwracam uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być niezwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Z braterskiem pozdrowieniem

Winc. J. Józwiakowski,

Sekr. Główn. Macierzy Polskiej
Chicago, dnia 20go września. '07.

NOWI CZŁONKOWIE.

2468. Józef Tabert, Oddz. 8—129
2469. Katarzyna Belter 9—247
2471. Marta Schultz 17—44
2472. Franciszka Miętus 15—116
2475. Anna Jarok 15—117
2474. Maryanna Brożna 15—118

2475. Rozalia Kowalska 15—119
2476. Stanisława Zientara 15—120
2477. Andrzej Nowak 14—143
2478. Winc. Wiszowaty 21—45
2479. Zofia Schultz 19—93
2480. Agn. Żmudzińska 19—94
2481. M. Lewandowska 19—95
2482. Edward Schuhok 2—165
2483. Fr. Suchomski, 4—146
2484. Piotr Kapsteina 8—130
2485. Stan. Oszakiewski 8—131
2487. Antoni Serocki 10—51
2488. Józef Maciejewski 10—52
2489. Józef Kowalski 10—53
2490. Zofia Wiech 15—121
2491. Maryan. Wardzała 20—81
2492. Maryan. Kopkowska 12—232
Winc. Józwiakowski,
Sekretarz Gł.

NEKROLOGIA.



Ś. P. MARTA STACHOWICZ.

Członkini Nr. 3, w Oddziale 24tym św. Barbary, w West Hammond, Ill., przyjęta do Macierzy Polskiej dnia 29 kwietnia, 1907 roku, umarła na zapalenie kiszek dnia 6go sierpnia, br., przeżywszy lat 22.

Ś. P. PIOTR PULCYN.

Członek Nr. 1, w Oddziale 14 Najśw. Imienia Maryi, w parafii Św. Stanisława Kostki, przyjęty do Macierzy Polskiej, dnia 21go lipca 1903 roku, umarł dnia 6go sierpnia, br., na appendicitis, przeżywszy lat 16.

Ś. P. FRANCISZKA RUMCA.

Członkini Nr. 70 w Oddziale 19tym, Królowej Jadwigi, w parafii Najśw. Maryi Panny Anielskiej, przyjęta do Macierzy Polskiej dnia 7go lipca, 1902 roku, umarła na suchoty gardła, dnia 14go sierpnia br., przeżywszy lat 22.

DO SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW MACIERZY
POLSKIEJ.

Administracja Macierzy Polskiej uprasza Szanownych prenumeratorów do nadsyłania prenumeraty za „Macierz Polską”. Zarząd poczty ustalił nową regułę zmuszając wydawców do wykreślenia z liczby każdego czytelnika który nie ma gazety opłaconej z góry, dlatego upraszamy o nadsyłanie takowej; w razie przeciwnym będziemy zmuszeni każdego nieopłaconego prenumeratora wykreślić z listy.

Prenumeratę należy nadsyłać pod adresem

Macierz Polska, 141-143 W. Division str., Chicago, Ill.

Matka i Maciek.

Matka: Maciek, a kajżeś tak długo siedział?

Maciek: Na rybach, alem nic nie złapił.

Matka: Ty próżniaku zawdy na tym stawie tylko mi się ty raku zatrącony utop to ci takie łanie sprawię, że ci się ryb odechce!

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorączką powietrzem, Wibracją, Elektryką, Massowaniem, Gimnastyką, Hydropatią, Suggestyą, Kąpielami siłowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonujemy z wielką akuracją; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup, towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,
właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,
685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko, starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

NAGRODY

dla Członków i Członkiń pracujących nad powiększeniem szeregów Macierzy Polskiej.

NAGRODA PIERWSZA:

Za dziesięć nowych członków lub członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn).

Ten wspniany szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem „Hołd zasłudze” na przodzie, a nazwiskiem odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn).

Ten elegancki, szczerzoty medal z naszym godłem, w formie breloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym

na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba,

NAGRODA DRUGA:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Śliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

NAGRODA TRZECIA:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

OGŁASZAJCIE SIĘ
W „MACIERZY POLSKIEJ”.

N. L. PIOTROWSKI ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph
Półkój 307, 8cie piętro. Tel. Central 608
Wieczor-m 603 Noble ul. Tel. Monroe 945
Mieszk. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1884



1907 SEPTEMBER 1907

S	M	T	W	T	F
1	2	3	4		
8	9				

Good Clothes

THE ARMITAGE

MILWAUKEE & ARMITAGE AVES.

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE

kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgłście się do nas my wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członek
Fire Underwriters Association.
Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie
Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład
INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podjeżdżuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.



JÓZEF KORZENIEWSKI,
Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrziny, i t. p.
818 N. Carpenter ulica.
Telefon Monroe 945.
Otwarte w dzień i w noc.